ROK 1. CENA 30 GR.

# ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 28 lipca 1929. 25.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA





Z P. W. K. Z PAWILONU PRACY KOBIET.

Dr. Z. ZDZIARSKA.

# NAJODPOWIEDNIEJSZE ZAWODY DLA DZIEWCZĄT KOŃCZĄCYCH SZKOŁĘ POWSZECHNĄ.

Zupełnie odrębną kategorję zawodów tworzą zawody rękodzielnicze, gdzie na pierwszy plan wysuwa się zręczność rąk, nie mniej kierowanych przez inteligentną głowę, gdyż konieczne tu są i pomysłowość i zdolność kombinacyj. Dalej potrzebna jest uwaga oraz wytrzymałość w wielu wypadkach na pracę jednostajną, monotonną. Szybkie tempo pracy także jest bardzo ważne, czy to będzie krawiectwo, bieliźniarstwo, czy modniarstwo, czapnictwo, czy też tkactwo, kwiaciarstwo, albo introligatorstwo. Ważnemi też cechami dla tych zawodów są: przewidywanie i zastanowienie, czystość, oszczędność i praktyczność, a także zdolności rysunkowe są bardzo pożądane. Przy krawiectwie, modniarstwie, tkactwie — umiejętność dobierania barw będzie konieczna, mniej zaś np. przy bieliźniarstwie. Dla krawcowej i bieliźniarki nieodzowna jest dokładność, a np. modniarką może być dziewczynka nawet niedokładna, ten brak nie będzie jej tu tak przeszkadzał. Tkactwo wymaga znacznej siły fizycznej, dobrej uwagi i bystrości spostrzegania. Introligatorstwo odpowiada dziewczętom lubiącym urozmaicone zajęcie, zaczynanie kilka różnych prac jednocześnie.

Wielka dokładność, precyzyjność i staranność są konieczne przy hafcie białym, koronkarstwie, zegarmistrzostwie, jubilerstwie, a także duża cierpliwość i wytrwałość oraz zamiłowanie do zajęcia spokojnego, siedzącego. Z drugiej strony dobre są to zawody dla dziewcząt chcących pracować w domu u siebie, nieśmiałych z natury, którym przykrość sprawia stykanie się z ludźmi obcymi. Szybkość pracy jest jednak ważnym warunkiem w tych zawodach, dla tej prostej przyczyny, że przy powolnej pracy zbyt małe byłyby zarobki.. Dziewczynki, którym brak pomysłowości, inicjatywy, jeżeli są cierpliwe i jeżeli nie sprawia im przykrości praca w liczniejszem towarzystwie, jak jest np. w pracowniach — mają do wyboru takie zawody, jak trykotarstwo, rękawicznictwo, kamizelczarstwo i t. p. Trykotarstwo maszynowe wymaga dobrego zdrowia i siły fizycznej.

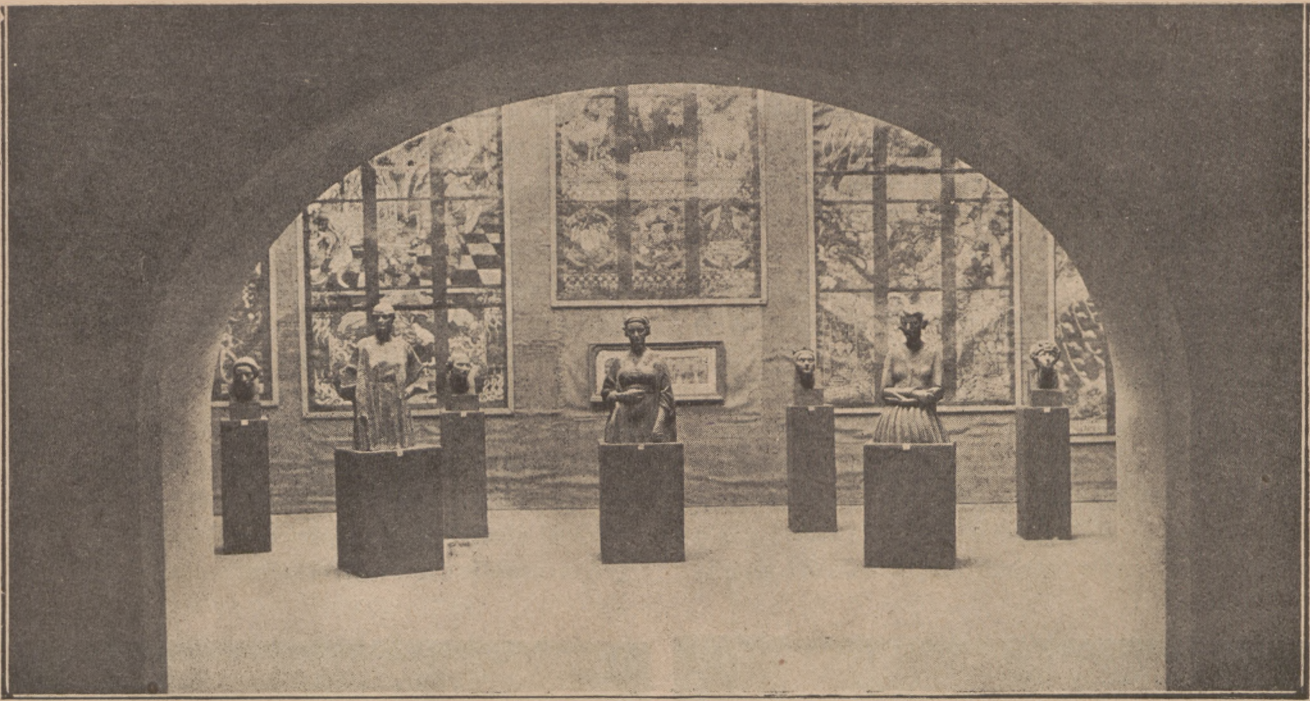
Czy dziewczęta mają obierać zawody ogrodniczek, pszczelniczek?

Na pierwszy plan wysuwa się tu kwestja warsztatu pracy, o ile niema własnego kawałka ziemi, zawody te dla dziewcząt przedstawiają jeszcze dużo trudności w zdobyciu sobie potem pracy. O ile jednak istnieje taki własny „warsztat" — to już nawet ze względów materjalnych pożądane jest gruntowne przygotowanie w szkole zawodowej rolniczej lub ogrodniczej i dla dziewcząt także. Ogrodnictwo, hodowla drobiu, mleczarstwo, jedwabnictwo — pole dla dziewcząt duże, praca zdrowa.

Bardzo często dziewczynki zdolne do matematyki obierają zawód handlowy, t. j. idą do szkół handlowych. Jest tu jednak wielka różnorodność zajęć, ściślejszy wybór trzeba uzależniać od wielu innych cech poza zdolnościami rachunkowemi. Maszynistka np. odznaczać się musi szybkiem tempem pracy, obszerną i dobrą pamięcią, szybką orjentacją. Buchalterka musi być bardzo uważna, systematyczna, staranna — zajęcie ma spokojne. Kasjerka nie może być roztrzepana i niedbała; jeżeli dziewczynka ma bardzo żywe usposobienie — męczyłaby ją ta praca.

We wszystkich jednak zawodach nieodzowne są takie cechy jak: sumienność, uczciwość, słowność, punktualność, w przeciwnym bowiem razie i zdolności nie pomogą, zrażenie klijenteli spowoduje brak pracy.

Jakich więc zawodów nauczyć się mogą dziewczęta w szkołach zawodowych, do których wstąpiłyby po 7-miu oddziałach szkoły powszechnej? W Warszawie w szkołach zawodowych są następujące działy: bieliźniarstwo, gospodarstwo domowe, haft, handlowe, introligatorstwo, kamasznictwo, krawiectwo, koronkarstwo, kilimkarstwo, tkactwo, trykotarstwo, zdobnictwo. — Po za tem seminarja nauczycielskie, ochroniarskie. Poza Warszawą są w szkołach zawodowych na prowincji jeszcze następujące działy: czapnictwo, modniarstwo, gospodarstwo wiejskie i przetwórstwo owocowe, ogrodnictwo, zegarmistrzostwo i jubilerstwo.



P. W. K. z Pałacu Sztuki. Witraże Mehoffera.

M. R.

# POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA
## W POZNANIU.

Wystawa — to taki ogrom, że aby ją zwiedzić dokładnie potrzeba całych tygodni. Czas, którym się przeciętnie rozporządza, pozwala na bardzo ogólnikowe zapoznanie się z Wystawą, ale wrażenie pozostaje duże i niezapomniane.

Wystawa jest wspaniała i imponująca; obejmuje teren o powierzchni 60 ha. Prowadzi na nią 9 wejść dla publiczności. Całość podzielona jest na 5 części. Teren „A“ leży na wprost dworca kolejowego. Mieszczą się tu pawilony przemysłowe, biura obsługi publiczności i administracja P. W. K. i sala reprezentacyjna, o powierzchni około 2000 m², na której dokonany został akt uroczystego otwarcia wystawy.

Na tym terenie spotykamy się z całą wytwórczością polską: poczynając od lokomotyw, wagonów, samochodów, łodzi, motorowych, do wyrobów z bibułki, wszystkie dziedziny przemysłu polskiego są tu reprezentowane. Przy pawilonie monopolu państwowego mamy wzorową plantację tytoniu. Przeciętny obywatel Polski zwiedzając ten teren zdumiewa się, że tak wiele i tak pięknych rzeczy wyrabiamy w kraju. Tu dopiero staje się zrozumiałem hasło: „Kupuj wyroby krajowe“. Bo doprawdy niema takiej dziedziny przemysłu, w której wyroby zagraniczne nie dałyby się zastąpić krajowemi, nieustępującemi pod względem jakości.

Teren „B“ mieści wystawę Rządu, samorządu, higjeny, wychowania fizycznego, sportu i sztuki.

Pałac rządowy jest najokazalszym budynkiem wystawowym. Jest to pokaz wyników pracy wszystkich ministerstw w ciągu dziesięciolecia niepodległości. Wspaniale wystąpiło Ministerstwo Spraw Wojskowych. Zgromadzono tu wiele starych dokumentów, które wykazują, że dawna Rzeczpospolita nie przez wojny, nie przez ciemiężenie innych ludów rosła w siłę i potęgę, lecz, że właśne słabsze narody szukały w Polsce opieki i same o nią prosiły. Jest tu także część aktu Unji Lubelskiej, w którym litwini po wsze

czasy mianują się braćmi polaków i postanawiają, że „dwa narody mają stanowić jeden naród". Wspaniała jest sala honorowa, w których się mieści portret Marszałka Piłsudskiego w otoczeniu sztandarów. Po przeciwnej stronie — portret Prezydenta Mościckiego tak samo udekorowany. Na ścianach rzeźby w drzewie, przedstawiające różne organizacje wojskowe, a więc legjonistów, peowiaków, dowborczyków, halerczyków, i fakty z ostatniej wojny, jak: obrona Lwowa, wypędzenie niemców z Poznania, powstanie górnośląskie.

Pałac sztuki, prócz olbrzymiej ilości obrazów i rzeźb polskich, posiada salę honorową, w której zgromadzono arcydzieła mistrzów doby ubiegłej z Matejką na czele. Znajdują się tu także cudowne imponującej wielkości witraże Mehoffera, wspaniałe, prawdziwie artystyczne oprawy książek, nowoczesne meble zachowujące jednak polski styl ludowy.

Na tym terenie przy pawilonie opieki nad małemi dziećmi, znajduje się ogródek Jordanowski, gdzie rodzice zwiedzający wystawę mogą pozostawiać pod opieką wykwalifikowanych ochroniarek dzieci od 4 — 8-iu lat. Każde pozostawione dziecko otrzymuje numerek, a rodzice kwit, na mocy którego otrzymują dziecko po 3-ch godzinach z powrotem.

Środkowy teren wystawowy „C", obejmuje część spacerowej wystawy. Ośrodkiem jego jest park Wilsona, dawny ogród dendrologiczny. Liczba gatunków i odmian drzew i krzewów wynosi około 250, a między niemi mieści się niejedna osobliwość dendrologiczna. Ogromnie cie-





Borowski Rzeźba Z PAŁACU SZTUKI Malarstwo Borowski

kawe jest tu alpinarium, posiadające dużo roślin tatrzańskich. W palmiarni mieszczą się bardzo ciekawe okazy palm, cudowne storczyki rosnące w specjalnie zbudowanych oszklonych klatkach, w których panuje tropikalna temperatura, oraz ogromny basen z „Wiktorią Regia“ (Róża wodna) rośliną wodną, której liście o brzegach zawiniętych ku górze, przypominają miski o średnicy metrowej. Całą jedną salę w palmiarni zajmują akwarja z różnemi gatunkami ryb.

Na terenie „C“ znajdują się pawilony „Polonja zagranicą“ wzniesiony kosztem naszego wychodźtwa ze Stanów Zjednoczonych, „Polska Współczesna“, „Uzdrowiska Polskie“ „Pracy Kobiet“, „Prasa i Książka“, Przemysł muzyczny“ i „Przemysł szklany“.

Na terenie „D“ mieści się wystawa handlu i jego organizacji pomocniczych, rzemiosł i „Polski Czerwony Krzyż“.

Teren „E“ mieści przemysł budowlany, galanteryjny, złotniczy, zabawkowy, meblarski, spożywczy, browarniany, cukrowniczy i cukierniczy, maszyny rolnicze, rolnictwo, leśnictwo, ogrodnictwo, łowiectwo. Tutaj odbywają się pokazy gospodarstwa hodowlanego, kur, świń, owiec, krów i koni ras szlachetnych. Centralna Stacja Jedwabnicza w Milanówku przedstawia wyhodowane kokony i demonstruje przerób surowca na nici i materje. Ogrodnictwo na wolnem polu wystawia szkółki drzew owocowych bardzo umiejętnie rozpiętych i prowadzonych w kształcie stożków, kół lub liry, oraz dekorację kwiatową.

Na wystawie można się nietylko nauczyć i napatrzeć, ale także zabawić. W kilku miejscach są czynne kina, do niektórych wstęp bezpłatny. Przy restauracji Huggera jest teatr—rewja. Ale największą atrakcją jest „Wesołe Miasteczko“. Kto zna „Luna-Park“ w Warszawie, ten je sobie może łatwo wyobrazić. Największem powodzeniem cieszy się górska kolejka, dywanik, na którym wjeżdża się na górę, o ile oczywiście jadący potrafi utrzymać równowagę i nie skoziołkuje na dół, jazda łódką po wodzie, która się tak dowcipnie rozpryskuje, że zachlapuje patrzących a nie robi krzywdy jadącym łódką, karuzela aeroplanowa i t. p.

Powszechna Wystawa Krajowa jest dziełem wspaniałem współpracy wszystkich ziem polskich, z Rządem Rzeczypospolitej na czele. Chociaż otworzona w iście amerykańskiem tempie, daje pełny obraz całego kulturalnego i gospodarczego życia naszego kraju. Jest to egzamin, który Polska zdaje przed całym światem ze swej dziesięcioletniej działalności. Dowiedliśmy tą wystawą, że nie jesteśmy państwem sezonowem, że ogólnym wysiłkiem całego narodu idziemy naprzód do mocarstwowego stanowiska.



**Lotnik.** J. Reichertówna.

**A. JEZIERSKI, Opiekun Gł. Szkoły 19.**

# MOJE WRAŻENIA Z KOLONJI RADY SZKOLNEJ.

W dniu 29 i 30 czerwca przyjeżdżały dzieci z różnych okolic Polski, jak: Wilna, Kowla, Brześcia, Białegostoku i Łodzi. Na przybywających oczekiwał Komitet z p. H. Dehnelową na czele. Dzieci samochodami zostały poprzewożone na miejsca noclegowe, do szkół — przy ul. Czerniakowskiej i Grójeckiej, gdzie oczekiwała ich już kolacja i nocleg.

Dla dzieci kresowych, które przyjechały wcześniej, urządzona była wycieczka po mieście, żeby mogły je choć trochę obejrzeć. Przygotowany też był obiad na żoliborzu, składający się z trzech dań.

W dniu 1 lipca, przeszło 600 dzieci w ciągu 8 godzin trzeba było przetransportować z miejsc noclegowych i dworców na Spokojną do Domu Izolacyjnego, gdzie po wykąpaniu i nakarmieniu ich, trzeba było zawieść chłopców na dw. Wschodni, a dziewczęta — na dw. Wileński. Prócz dzieci musieliśmy przewozić i bagaże, których ogółem było przeszło 800 sztuk.

W dniu 2 lipca znów wyjeżdżały dzieci z Warszawy i znów powtórzyła się ta sama historja, lecz w nieco mniejszych rozmiarach.

Przy wysyłaniu ostatniej partji dziewcząt, otrzymałem upoważnienie jechania z niemi do Małkini, co bardzo chętnie przyjąłem, gdyż byłem ciekawy, jak ta kolonja wygląda na miejscu. Zdawać by się mogło, że jeszcze zostaniemy pewien chaos, boć to przecież pierwszy dzień, jednakże wszystko było we wzorowym porządku.

Na stacji oczekiwały na nas podwody, na które zostały załadowane bagaże, a nawet i mniejsze dzieci. Po 15-minutowej drodze stanęliśmy na terenie kolonji.

Tu p. kierowniczka M. Zbierańska wyznaczyła każdemu miejsce i na razie cała nasza dzieciarnia zniknęła nam z oczu.

Okolica w której leży kolonja, jest piękna. Powietrze przepełnione żywicą naokoło łąki, Bug w pobliżu, a co najważniejsze — olbrzymie plaże. I to właśnie jest ozdobą kolonji. Miły to widok zobaczyć naszą dzieciarnię pluskającą się w nurtach Bugu, lub plażującą na jego brzegach a potem powracającą rzeźwą i wesołą na obiad.

Co zaś tyczy się urządzenia, to jest doskonałe. Choć to tylko baraki, ale nie jeden dom drewniak w Warszawie do nich nie mógł by się przyrównać, tak są ładne i dokładnie zbudowane. W salach rzędami stoją łóżeczka, biało pościelone a nad niemi półki na drobne rzeczy naszych letników. Oświetlenie elektryczne na wykończeniu. Wszędzie swoboda, a zarazem ład i porządek. Doprawdy takiemi kolonjami poszczycić się można.

Jeśli reszta kolonji t. j. w Zajezierzu i pod Pułtuskiem są tak samo urządzone, w co nie wątpię, to twórcom kolonji należy się od nas rodziców dzieci szkół powszechnych słowa podziękowania za taką organizację.

**HELENA DEHNELOWA.**

# DZIECI JADĄ.

Zwykle cicha ulica, słusznie zwana Spokojną, zaroiła się dziś od wczesnego ranka ruchliwym tłumem rodziców, gwarem dzieci, turkotem dorożek i taksówek: Rada Szkolna m. Warszawy wyprawia dziś dzieci na kolonje!

Długie szeregi rodziców z walizami i tobołami, z których sterczą główki butelek z mlekiem lub herbatą dla dzieci na drogę, z których wyłażą czubki bułek, wyglądają pierniki... ciągną pod Nr. 15 na Spokojną, gdzie się mieści III stacja Miejska Hygjeny Zapobiegawczej, zwana inaczej Domem Izolacyjnym. Od czasu do czasu

przed Domem tym zatrzymuje się dorożka lub taksówka, z której wysiada skłopotana, zgrzana Mamusia lub Tatuś, wysuwają się kosze i walizy — i wyskakują rozpromienione Zosie i Staszki... „Na bok, na bok“ rozlega się wołanie. Tłum się rozstępuje, szeroko otwiera się brama, przez którą, ze śpiewami, wjeżdżają auta, przepełnione dziećmi z prowincji, które przyjechały wczoraj, nocowały w Warszawie i dziś jadą z nami na kolonje!

Rodzice z dziećmi i poszczególne grupy dzieci ze szkół, po przejściu przez kontrolę przy bramie, zapełniają gwarnym tłumem bardzo duże zaciszne, zalane słońcem podwórza Domu Izolacyjnego. Ciżba za bramą powoli znika, ale zato na podwórzach kipi życie. Rodzice i dzieci stoją grupami, siedzą na tłomokach, oblegają wychowawców, rozpytują, dają ostatnie rady dzieciom... Trudno się przecisnąć przez tłum!

Lecz czas nagli. Delegaci Rady Szkolnej, wraz z zawsze oddanym dzieciom, zawsze spokojnym Dr. Rabczewskim, gospodarzem tego Domu i z Dr. Kawką, jego dzielnym pomocnikiem, oznajmiają rodzicom, że trzeba opuścić podwórza. Większa część rodziców słucha rozkazu, jeszcze raz żegna się z dziećmi i odchodzi. Gorzej z opornymi, którzy chcieliby jaknajdłużej być przy dzieciach. Ci chowają się w cieniu drzew, kryją się pod murami.

Nie dziwimy się — wszak oddają nam swój najdroższy skarb!

Nareszcie jesteśmy sami z dziećmi! Zaczyna się spieszna planowa robota. Wychowawcy dzielą dzieci na grupy. Każdy obejmuje pieczę nad swoją, z którą nie rozstaje się już aż do chwili przyjazdu na kolonje.

Rozlega się rozkaz: pierwsza grupa do kąpieli i badania — i po chwili już dzieci z wesołym gwarem pluszczą się pod prysznicem pod nadzorem wychowawców i specjalnie wyćwiczonych w zakładzie „kąpielowych“.

Fryzjer strzyże niepotrzebne, niestety często zanieczyszczone czupryny, a potem kilku specjalnie zaproszonych doktorów, wraz z ofiarnym personelem miejscowym, bada dzieci, mierzy temperaturę, zapisuje, daje rady...

Robimy to w celu zapobieżenia zawleczeniu na kolonje choroby zakaźnej, na które mogło zapaść dziecko w międzyczasie od badania przez lekarza szkolnego do chwili wyjazdu.

Po pierwszej grupie idzie grupa druga, za drugą trzecia i t. d.

Tymczasem pierwsza grupa wyświeżona, zbadana ale coraz mniej wesoła ba!... głodna.

Nie dziw — godzina 11-ta, a wstali o 6-tej!

Ale gościnny Dom Izolacyjny (Dr. Rabczewski i Sekretarz Uziembło) wiedzą o tem dobrze. Prowadzimy dzieci do poczekalni, gdzie już czekają na nie — smaczny krupniczek, jaja, bułki z masłem i kawa. Zaczyna się uczta!

Przytem niema zwykłego w tych wypadkach nieporządku. Wszystko idzie sprawnie, każdy z personelu zakładowego umie dać sobie radę. Jedynie dzieci pozwalają sobie na nieporządek, krzyki i gwar... Są podniecone nowością położenia, niezgrane z sobą, nie opanowane jeszcze przez wychowawców. Ale to prędko minie!

Nareszcie wszystko wykąpane, najedzone i wesołe, wylega na podwórze, żeby jechać na dworzec. Mamy czas.

Tymczasem, wychowawcy którzy już od godziny 7-ej są przy pracy — są też jakoś bez humoru (poprostu są głodni!)

„Prosimy pp. wychowawców na śniadanie“ woła uprzejmie Dr. Kawko, więc grupami idą na śniadanie. Kawa i bułeczki smakują i im doskonale.

Tymczasem zajeżdżają na podwórze rozłożyste auta ciężarowe, na których ustawiono ławeczki do siedzenia — i cała rzesza dziatwy wesoła i rozbrykana na rozkaz wychowawców w mig zapełnia siedzenia, tłoczy się i z wesołą pieśnią wraz z wychowawcami opuszcza gościnne progi miłego Domu Izolacyjnego.

W bramie żegna nas Dr. Rabczewski. W jego oczach odbija się radość tych wszystkich małych jego gości, które opuszczają duszne mury Warszawy, żeby zaczerpnąć zdrowia i sił wśród pól i lasów na kolonjach letnich.

Jedziemy na dworzec!

SYDOR REY.

# DZIECI I LATO.

ŻYCIE.

Wychowawca - marzyciel niebezpieczny. W rozmarzeniu snuje cudowny obraz. Mrzonka o spokoju, ciszy, rozanieleniu. Marzy: dzieci — anielskie duszyczki, niepodobne do chropawych, uzębionych stworzeń. Czasem skołatany, zbity życiem, spodziewa się znaleźć w gromadzie dziecięcej raj.

Przykre następstwa: rozczarowanie, borykania się, zatargi, żal. Rozczarowany, rozżalony wychowawca, często chwyta rózgę...

Dzwonek. Obiad. Wloką się leniwie. Słońce praży. Oczy senne. Jedzą powoli. Jeden rozparł się w krześle. Nie je. Wszystko gorące. Wielu zostawia. Któryś się zdrzemnął. Sąsiad niezręcznie, leniwie go prztyknął w nos. Ciężko rozwarł powieki... Półsenne żarty. Powoli, pojedyńczo wstają od stołów. Któryś nie chce wstać. Ciągną go... Bezwładność. Rozstrój.

Wychowawca prowadzi gromadę na wycieczkę. Idą spokojnie polną ścieżką. Na przedstawienie dzieci do pobliskiej kolonji. Ukazało się dość wzniosłe wzgórze. Ponętne. Zwróciły oczy w tę stronę. Zapaliły się. Drgnęły. Wejść na wzgórze!? Kilku wystąpiło z szeregu.

Wchodzą na wzgórze. Wspinają się na wyścigi. Hałaśliwie; za nimi reszta. Kilku stoi na dole. Tęskno patrzą w górę. Nie wchodzą. Tylko krzyczą. Zagrzewają. Stanęli na szczycie. Stroją miny. Huraganem rzucają się na dół. Ci na dole wyciągnęli ręce. Chcą wstrzymać. Cofnęli się. Jeszcze raz wchodzą. Zmęczone, zziajane, wracają do szeregu. Powoli się wloką. Senność ich ogarnia. Legliby gdzieś w cieniu.

Dziewiąta wieczór. Pora snu. W powietrzu gwar. Parna piosenka. Okna otwarte. Nie mogą spać. Kręcą się w łóżkach. Lekkie wybryki. Podniecone...

Kilku stoi przy oknie. Cicho szepcą. Jeden łapie zabłąkaną muchę. Wychowawca każe iść do łóżka. Odchodzą niechętnie. Tu i ówdzie westchnienia. Nagły wybuch śmiechu. Zasypiają. Jeden nie może zasnąć. Do późnej nocy przewraca się na łóżku...

Kąpiel w rzece. Gwar, śmiech, nawoływania. Obryzgują się wodą. Nagły płacz; śmieją się. Jedni umieją pływać. Idą głębiej. Ciągną innych. Wzbraniają się. Inni udają odważnych. Łobuziak złapał malca. Chce go zanurzyć. Malec drze się w niebogłosy... Każą wyjść. Ociągają się. Zbliżają się do brzegu; wracają. Wychodzi pierwszy. Później drugi. Trzeci jeszcze raz się zanurza i wychodzi. Wszyscy wyszli, jeden został. Robi sztuczki: chowa się pod wodą. Udaje, że się topi. Na brzegu skaczą. Gonią się. Jednemu schowali ubranie... Gorąco. Chcieliby znów wejść do wody. Muszą odejść. Woda taka cudna...

Słońce strzeliło do sypialni. Jeszcze nie pora wstawania. Dopiero o siódmej. Teraz piąta. Kilku się pobudziło. Cicho szepczą. Ktoś się roześmiał. Pobudzili się. „Spać!". Nakryli się. Cicho. Ale słońce woła...

Las. Chłodno. Bawią się w chowanki... Jeden wlazł na drzewo. Oddzielił się od gromady. Chce dostać ptaszka. Za nim poszło kilku innych. Poważne...

Gromada zżyła się z sobą. Kochają się, kłócą, biją. Józio stoi na uboczu. Nie lubi ich. I jego nie lubią. Odtrącają go. Małych podstępnie bije, na starszych się skarży... Miał smutną przeszłość. Przyrodni brat go bił, katował...

Więc nie raj, życie we wszelkich odcieniach.

Więc lepiej nie budować zgóry planów; nie ustalać w rozmarzeniu porządku. Zadaniem naszem — wyczuwać w każdej chwili pragnienia, dążności gromady; przezornie, miękko je kierować.

# POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

Pedro roześmiał się, ruszając niefrasobliwie ramionami. Nie bał się samego djabła, gdyby go spotkał, a że kiedyś spotka śmierć, o tem wiedział i tak. Od tego nikt nie ucieknie. Na wszelki wypadek schował tę książkę między swoje rzeczy.

W dwa tygodnie później przyjechali do Corrientes, jadąc to traktem, to nagim, pustym stepem, na którym tylko chyba instynkt wskazywał drogę, to wzdłuż wąskich o tej porze roku i półwyschniętych strumieni. Corrientes leży nad rzeką Paraną i ma piękne ogrody. Złodzieje zajechali wraz ze swoim tabunem na przedmieścia miasta, gdzie w wielkiem podwórzu mieli zapewnione schronisko dla koni, a dach dla siebie u gospodarza. Zyskowne tranzakcje o konie były jeszcze w toku, kiedy Pedro poszedł odwiedzić Assuncion.

Pedro uprawiał wszystkie zawody. Śmiały i zręczny, świetny i wyprobowany jeździec, nie lubił właściwie życia na stepie i chętnie, jak wielu mężczyzn w Argentynie, przebywał w mieście. Pomiędzy swojemi zbójeckiemi wyprawami, wychudły i zmizerowany od niewygód, wracał do siostry i tam, w jej niewielkim domku przy calle[1]) Salta, udawał pana. Wstawał wtedy późno z pościeli, ubierał się starannie, zawiązywał sobie jaskrawy krawat i szedł na róg ulicy, gdzie najsilniej tętniło miejskie życie. Palił wtedy papierosy jeden za drugim, w regularnych odstępach spluwał, i przymrużając uwodzicielsko oczy, zaczepiał każdą przechodzącą, przystojną dziewczynę.

I teraz, wyszedłszy z wielkiego, nizkiego domu na przedmieściu, gdzie się dla ostrożności zatrzymał, szedł wolnym krokiem znajomemi sobie ulicami, spoglądając z zadowoleniem na swoje nowe buty, płytkie i lakierowane, które po wiecznych ostrogach wydawały mu się szczytem komfortu. Dzień był chłodnawy, ale piękny. Nudna monotonja podobnych do siebie, jedno — a najwyżej dwupiętrowych domów, ulice, podzielone na jednostajne quadry[1]), były, jak te nowe buty, symbolem cywilizacji, wielkomiejskości, symbolem tego wszystkiego, za czem się na stepie tęskniło.

— Nie, nie jestem stworzony do takiego życia — pomyślał Pedro — ciągle głodować, ciągle trząść się w siodle, moknąć na rosie, prażyć się, jak kukurydza na słońcu, cóż za niedorzeczność. Byle zdobyć potrzebną ilość pieniędzy, a nic nie będzie stało na przeszkodzie, żeby zostać porządnym obywatelem.

Pod zielonym parasolem roztasowała się przekupka ze swojemi kwiatami, w blaszanych rożkach przyczepionych do kija od parasola miała pełno różowych kamelji. Pedro rzucił jej dwadzieścia centavos: był bogatym, mógł siostrze przynieść kwiaty.

Siostra Pedra mieszkała w podobnym zupełnie do innych, jednopiętrowym domku, przy jednej z głównych ulic. Przed domkiem był maleńki ogródek, w którym cały rok prawie kwitły puszyste, upajające wonne mimozy i zieleniały się wiecznie eukaliptusy o krzywych, długich, sercowatych liściach i korze nagiej i różowawej, jak skóra. Kiedy zadzwonił, otworzyła mu sama właścicielka i tkliwie go ucałowała, prowadząc na wewnętrzną stronę domu, gdzie w małem, na hiszpański sposób urządzonem patio rosło jedno mandarynkowe drzewo, pełne złotych owoców.

— Skąd wracasz? Dlaczego cię tak długo nie było? I — najważniejsze — co przywozisz?

Siostra Pedra mało była podobna do swojego imienia, które, jak wiadomo, oznacza Wniebowstąpienie Matki Boskiej. Była to osoba trzydziestokilkoletnia, drobna i zawiędła, choć pięknie i starannie wymalowana. Pedro opowiedział jej pokrótce o swojej ostatniej wyprawie i o jej brzęczących rezultatach. Miał do tej starszej siostry bezbrzeżne zaufanie i uważał ją zawsze za rezerwuar hojnie doprowadzanych pieniędzy, skąd w potrzebie czerpał.

— A tamci trzej?

Pedro skrzywił się bokiem ust, jakby łykał coś kwaśnego:

— Nie żyją. Trudno było zrobić inaczej, nikt ci nic nie da za darmo.

Assuncion założyła ręce i wzniosła oczy do nieba. Potem zaczęła mówić, i w żywych barwach odmalowała bratu tortury piekła i radość djabłów rogatych, z długimi, włochatymi ogonami, którzy grzesznika pędzą widłami do kotłów pełnych smoły i tam ich, z rykiem bestjalskim nurzają. To wszystko, naturalnie, o ile by nie poszedł do spowiedzi i nie uzyskał rozgrzeszenia. Do kogóż zaś, jak nie do siostry, należy roztrząsanie braterskiego sumienia i dbanie o jego duszę, po której spłynie przebaczenie z góry, jak rosa niebieska po kwiecie kamelji? Pedro słuchał jej ze czcią i przyznawał jej całkowitą rację, z djabelskiemi wizjami mieszało mu się wspomnienie młodego gaucza w kaftanie w zielone i żółte kraty, który leżał na stepie z twarzą zniekształconą od uderzenia podkutego buta. Jedno oko wypłynęło, a krew przyschła soplami do czarnej krwi, ściekając wąskim strumieniem między włosami brody. Przypomniał też sobie, że ostatnim razem, kiedy także był zmuszony zabić człowieka, poszedł zaraz potem do spowiedzi i znacznie mu ulżyło, kiedy obiecał poprawę i dostał rozgrzeszenie. Trzeba to będzie jutro od rana zrobić. Z zamyślenia wyrwał go głos siostry, która pytała:

— A ile przywiozłeś mi pieniędzy?

Przywołany do przytomności, Pedro żywo i z zadowoleniem zdawał siostrze rachunek ze spodziewanych zysków: konie były piękne, cała impreza, choć kosztowała wiele trudu, opłaci się świetnie.

— Jechaliśmy za nimi prawie od stancji Los Toros, gdzie kupowali konie. Ale przywiozłem coś jeszcze, może ci się przyda.

Wrócił do przedpokoju, gdzie zostawił książkę. Assuncion obejrzała ją starannie, potem położyła na stół w swoim pokoju.

— To nie po hiszpańsku pisane — powiedziała — ale piękna okładka, może kto kupi.

(C. d. n.).

**Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.** **H. BOGUSZEWSKA.**

# Z GÓRNEGO ŚLĄSKA.

## ŚWIAT PRACY.

Idąc, mam jeszcze pod powiekami obraz czarnych ludzi, uwijających się z drągami na tle kolorowych płomieni — a już mnie ogarnia ciepławy, duszny, niewypowiedzianie smutny mrok. Jest cicho, ale ucho łowi jakieś szmery, jakieś głosy. I jest spokojnie, niby nic się nie dzieje — ale każdej chwili może się dziać coś — nieprzewidziane i groźne. Gdy się tam zejdzie po raz pierwszy, marzy się o tem, żeby już wyjść, żeby się stamtąd wydostać jaknajprędzej, zacząć oddychać zwyczajnem powietrzem, zobaczyć zwyczajne życie na ziemi.

A kiedy się wyjdzie, jest się przygnębionym i myśli się, że się już nigdy do kopalni „na dół“ nie zejdzie. A potem chciałoby się jeszcze raz tam wrócić, pochodzić po czarnych korytarzach, wdychać ciepławy, parny mrok, coś domyśleć do końca, jakoś sobie lepiej zapamiętać.

Praktycznie wygląda to tak:

— Wartoby zwiedzić jeszcze jedną kopalnię, np. Hermenegildę.

Niewiadomo, co tam ciągnie. Taka właśnie cisza? Spokój, pełen niepokoju? Mrok? Czy to, że tak głęboko pod ziemią? I że i tam właśnie ludzie pracują — właśnie tam?

Ale od chwili przekroczenia bram Hermenegildy, do chwili znalezienia się „na dole“ — upływa jeszcze dużo czasu.

W kancelarji trzeba podpisać papier tej treści, że „cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie“.

Czy mnie zaleje woda, czy spali ogień, czy zasypie miał — Hermenegildę głowa o to nie zaboli.

I moim spadkobiercom nic do niej.

Podpisałam.

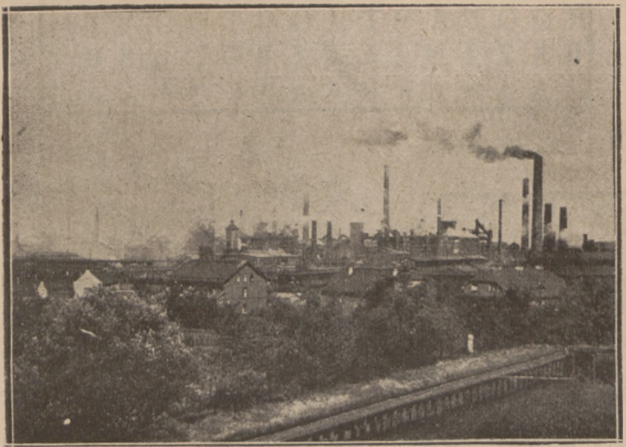
Potem ogromna hala o pułapie utkanym niejako z tobołków, wiszących wysoko na hakach. To górnicy zawiesili na nich zawiniątka ze zwykłą odzieżą, w której chodzą po ziemi — i haki z zawiniątkami automatycznie na blokach poszły w górę, aż pod pułap.

A górnicy przebrali się w swoje czarne robocze ubrania i poszli w dół. Po drodze, w korytarzu wzięli swoje lampki.

I myśmy też dostali lampki niepomiernie ciężkie, i o tym czasie niepotrzebnie jeszcze świecące mdłym płomieniem, w szarawem, mglistem świetle dnia.

Potem winda. Zwyczajna winda do węgla. Lecimy w dół.

W pewnej chwili, coś się stało z uszami. Nie stopniowo — tylko zupełnie nagle, Nie to,



Królewska Huta.

żeby się przestało słyszeć, tylko, że się słyszy inaczej. Jakby wszystkie głosy były owinięte we flanele — i własny głos także.

Już się jest na dole, już zewsząd otacza, ogarnia niezapomniane powietrze kopalniane, ciemne i ciepłe, już światła lampek nabrały właściwego znaczenia. Stały się czemś najważniejszem — źrenicą oka"!

Idzie się korytarzem, gęsiego. Oczy wlepione w plecy poprzednika; pleców już nie widać, tylko płomyk lampki, więc oczy wlepione w płomyk lampki. Grunt bywa nierówny, suchy, mo-



Królewska Huta.

kry. Sklepienie to wyżej, to niżej, Można uderzyć w nie głową, można się potknąć, można zabłocić, można przewrócić. Ale to nie jest ważne. Ważne jest tylko jedno — i jedna tylko myśl w głowie: nie zostać gdzieś w tyle, nie odłączyć się, być razem, nie odstać od gromady. Nie zabłądzić, nie zabłądzić!!!

W korytarzu są szyny — jeżdżą kolejki, przewożące węgiel do szybu. Z mroku wynurza się mała lokomotywa i wózki. Górnicy orjentują się wsygnałach, w kierunkach. Osoby zwiedzające kopalnię nie orjentują się w niczem i są w ciągłym strachu.

Lepiej jest iść bocznym chodnikiem. Tam przynajmniej nic nie najeżdża.

Chodnik jest obmurowany, albo wyłożony belkami: pionowo stoją „stemple", poziomo na nich wsparte „kapy". Niektóre wiszą pęknięte, nadłamane i grożą oberwaniem.

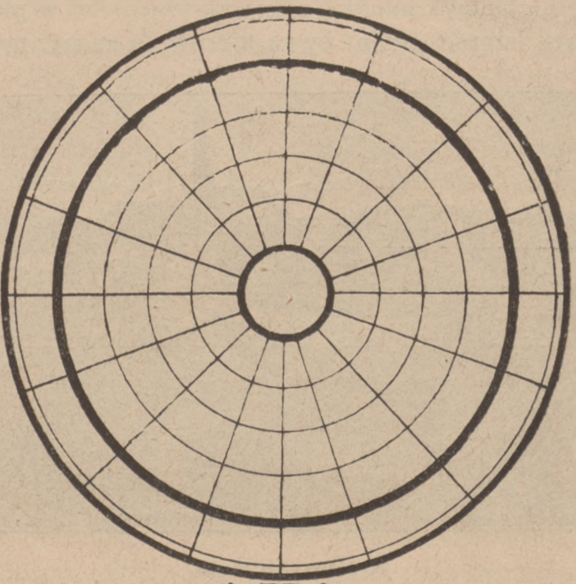
Gdzieniegdzie niema ani muru, ani stempli, ani kap. Jest poprostu węgiel. Czarny, z matowym, tłustym połyskiem.

D. c. n.

Adres Redakcji i Administracji. Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
**Konto P. K. O. Nr. 19929.**

# ROZRYWKI UMYSŁOWE.

## Nr. 1. MOZAIKA uł. p. Al. Czyżewski.

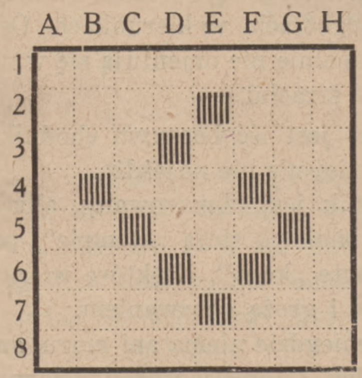


W podaną figurę wpisać 16 sześcioliterowych wyrazów. o wspólnej końcowej literze w środku koła. Rząd pierwszy da rozwiązanie.

**Znaczenie wyrazów:**

1. Zabawa. 2. Nimfa wodna. 3. Dobra cecha. 4. Lichy utwór literacki. 5. Rzeka w Ameryce płd. 6. Pieniądze. 7. Symbol władzy świeckiej. 8. Symbol władzy duchownej. 9. Pomoc, przysługa. 10. Owoc. 11. Miasto w St. Zjedn. 12. Tężnia. 13. Kłącz. 14. Mowa. 15. Bogini miłości. 16. Działanie wody na skałę.

## Nr. 2. KRZYŻÓWKA uł. „Acz"



**Znaczenie wyrazów.**

Poziome: 1A. Miasto w Szleswiku. 2A. Francuskie imię męskie 2F. Miasto w Niemczech. 3A. Dawna moneta. 3E. Postać biblijna. 4C. Miasto w Belgji (wspak). 4G. Przyimek (wspak). 5A. Zaimek. 5D. Rzeka w Szwajcarji. 6A. Papuga 6G. Dwie spółgłoski 7A. Umiar. 7F. Okres czasu. 8A. Zwierzę afrykańskie.

Pionowe. A1. Odstępca. B1. Rzeka w Szwajcarji. B5. Kraj w Afryce. C1. Pycha. C6. Częśc sztuki. D1. Spółgłoska (fonetycznie) D4. Dowidzenia. D7. Zaimek. E3. Gatunek zwierzęcia. F1. „Król" w obcym języku (fonetycznie). F7. Litera grecka. G1. Miasto we Włoszech. G6. Pewien korpus Wojska Polskiego (skrót). H1. Rzeka w Ameryce.

## Nr. 3 BILET WIZYTOWY uł. p. George Abbe.

odczytać zawód tej pani

| |
|---|
| IT. SZYMANSKA |

Za trafne rozwiązanie zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe" przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

## HALLO! HALLO!

W następnym numerze naszego tygodnika rozpoczynamy *„Letni Turniej Zadaniowy"* z licznemi. i cennemi nagrodami. Szczegóły i warunki *Turnieju* podamy w następnym numerze.

## Rozwiązanie zadań z Nr. 22.

### Nr. 1. LOGOGRYF.

| | | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| A | U | D | K | D | E | S | F | K | K | S | K | A | R | M | E |
| R | D | O | L | A | M | T | A | O | O | T | O | D | A | I | M |
| **K** | **A** | **Z** | **I** | **M** | **I** | **E** | **R** | **Z** | **P** | **U** | **Ł** | **A** | **S** | **K** | **I** |
| A | R | A | N | A | R | R | A | A | A | K | O | M | A | A | L |

### Nr. 2. Kwadrat magiczny

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| B | A | N | A | N |
| A | G | A | W | A |
| N | A | D | I | R |
| A | W | I | Z | O |
| N | A | R | O | K |

### Nr. 3. Szaradki rebusowe.

Karta - Gina = Kartagina

Pan - to - mina = Pantomina

Trafne rozwiązania z nr. 22. nadesłali pp:

Arbaszewska Józefa w/m. Bondorowski Jerzy w/m. Chrzanowski Jan w/m. Chyliński Stefan w/m. Jarmulski Edmund — Modlin. Jarmulski Saturnin—Modlin. Kamińska Kamilla—Sulejówek. Kamiński Stanisław—Sulejówek. Kozłowski Czesław w/m. inż. Landau Jan w/m. Polak Konrad w/m. Policzyński Leonard—Rembertów. Siuchta Teofil — Polków-Sagały. Tietz Zygmunt w/m. Blumenfeld S. w/m. Blumenfeldówna Gustawa w/m. Finl Leon — Ostróg n/Horyniem. Juszczakowski Marjan w/m. Skowroński Jerzy w/m. Sowa Józef n/Horyniem.

Nagrody wylosowali:

1. Bondorowski Jerzy w/m.
2. Jarmulski Edmund—Modlin.
3. Siuchta Teofil—Polków-Sagały.



Warszawskie Zakłady Graficzne. Wilcza 60. Telefon 293-47.